Andrzej Romanowski

WIELKOŚĆ I UPADEK „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

ORAZ INNE SZKICE



universitas

WIELKOŚĆ I UPADEK „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

ORAZ INNE SZKICE

Andrzej Romanowski

WIELKOŚĆ I UPADEK „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

ORAZ INNE SZKICE

Kraków

© Copyright by Andrzej Romanowski and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2011

ISBN 97883–242–1509–6
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Jolanta Stal

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

Pamięci moich Rodziców,
Lidii z Bytnarów i Tadeusza Romanowskich

Marcin Król

HISTORYK POTRAFI

Książka Andrzeja Romanowskiego jest rzadkim w dzisiejszych czasach dowodem na to, że można uprawiać historię najnowszą i nie zwariować, co więcej: w tekstach bardziej publicystycznych niż naukowych zachować znakomitą dbałość o szczegół oraz profesjonalizm.

Większość z publikowanych tekstów dotyczy „Tygodnika Powszechnego" oraz instytucji i ludzi z nim związanych. Ponieważ miałem szczęśliwie okazję znać dobrze tych ludzi od 1969 roku, mogę tylko potwierdzić, że Andrzej Romanowski z wielkim wyczuciem opisuje rozmaite zawiłości i niejasne sytuacje, jakie były ich udziałem, oraz – w przeciwieństwie do innych autorów, których nie będę wymieniał – postępuje tak, jak powinien nie tylko historyk, ale każdy człowiek, czyli zaczyna od życzliwości i od domniemania niewinności.

A jakie to były problemy, które Romanowski przedstawia, a które dla ludzi niechętnych „Tygodnikowi" stanowią świadectwo rozmaitych złych rzeczy? Przede wszystkim skomplikowane relacje z kardynałem Stefanem Wyszyńskim, który nie ubóstwiał ani ludzi „Tygodnika", ani katolickiej inteligencji, ani Koła ZNAK, a równocześnie doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że są mu potrzebni i kiedy mu są potrzebni. Relacje między Jerzym Turowiczem, Stanisławem Stommą a kardynałem Wyszyńskim zawsze były skomplikowane, ale, jak pokazuje Andrzej Romanowski,

zawsze bardziej dla dobra Polski niż z powodu sporów personalnych, zaś różnice dotyczyły jedynie taktyki, a nie podstaw myślenia i podstaw chrześcijaństwa.

Następny problem to rozmaitość dróg, jakimi Turowicz, Stomma, Paweł Jasienica, Krzysztof Kozłowski i inni zmierzali do „Tygodnika" i – rzecz niebywała – jak potrafili nie tylko uzgodnić stanowiska, kiedy już znaleźli się we wspólnym środowisku, ale także wytworzyć wspólną wrażliwość, której miałem okazję doświadczać i która sprawiała, że „Tygodnik" rzeczywiście mógł być ojczyzną dla niektórych ludzi. Dlatego z pewnym smutkiem opisuje Andrzej Romanowski proces, który rozpoczął się po 1989 roku i stopniowo doprowadził do całkowitej utraty tej wrażliwości, a zatem do zniknięcia ojczyzny.

Niejako w tle przygód bohaterów „Tygodnika" toczyły się w ostatnich latach dyskusje na temat pamięci historycznej oraz na temat rozmaitych produktów Instytutu Pamięci Narodowej. Andrzej Romanowski nie łączy tych spraw bezpośrednio, jednak ich pokrewieństwo, nieco dziwaczne zjawisko przesuwania się „Tygodnika" na prawo oraz liczne i beznadziejne spory lustracyjne powodują, że związek tu istnieje. Pojawia się bowiem pytanie, na które Romanowski udziela obszernej odpowiedzi, pytanie o to, co Autor nazywa „centrum", a co rozmaitymi formami radykalizmu. Radykalizmu nie tylko politycznego, ale przede wszystkim radykalizmu ocen moralnych, gotowości do ferowania wyroków, rozpaczliwej odwagi w tym przedsięwzięciu, która musiała prowadzić do autodestrukcji środowiska „Tygodnika".

Wreszcie Andrzej Romanowski czyni to, co jest obowiązkiem historyka, a mianowicie przywraca proporcje. Doprawdy, pomijając przede wszystkim paryską emigrację, Polska przez lata niewoli nie miała tak wybitnych ludzi, jak ci, którzy zebrali się wokół Jerzego Turowicza. Nie wolno o tym zapominać, nie wolno zapominać nie tylko o ich zasługach, ale także o ich mądrości, co

Andrzej Romanowski doskonale pokazuje w tekstach na temat życia i poglądów Stanisława Stommy, zupełnie już dzisiaj niedocenianego nauczyciela realizmu politycznego, ale nauczyciela, który doskonale wiedział, co czyni.

Przyjemnie odetchnąć świeżym powietrzem, przyjemnie wiedzieć, że historyk nie tylko potrafi, ale także pamięta.

ZDRADA CENTRUM

Książka ta jest kontynuacją moich wcześniejszych zbiorów: *Prawdziwy koniec Rzeczy Pospolitej* oraz *Rozkosze lustracji.* Jak tamte, mówi o polskim upadku. Bo przecież dostaliśmy od historii więcej, niż byśmy mogli sobie wymarzyć, a naszej wolności nie umiemy zagospodarować. Mógłbym posłużyć się terminem „spisienie", ale nie powinienem go odbierać Wojciechowi Mazowieckiemu.

Nie chodzi tu jednak, jak w tamtych moich pracach, o zaprzepaszczoną mądrość pokoleń. Ani o narodową katastrofę, jaką była lustracja. Chodzi o *zdradę centrum*. Bo było to zjawisko znacznie niebezpieczniejsze niż największe nawet harce „olszewików". Faktyczne zagospodarowanie politycznego centrum przez prawicę spowodowało, że głównym rzecznikiem racji stanu musiały w Polsce stać się środowiska postkomunistyczne. Choć nie posiadały one wystarczającego kapitału do poprowadzenia kraju akurat w tę stronę, którą same wcześniej zwalczały.

Ta książka chce się więc upomnieć o wielkość ruchu ZNAK. O pamięć jego liderów, którzy startując z pułapu najniższego z możliwych, doprowadzili (razem z innymi) do polskiej niepodległości. Dziś z tego ruchu, z tworzących go instytucji i czasopism, pozostały jedynie nazwy. Trwający przez dwie dekady proces wypłukiwania sensów był dla mnie wyjątkowo bolesny: dotknął przecież środowisko, które uważałem za własne.

W zdradzie centrum nikt jednak nie jest bez winy: o tym także będzie tu mowa. Dodajmy więc, że i piszący te słowa zbyt długo – jak dziś widzi – służył sprawie, która przestawała być dobrą. Zaczęło się wszak od odmawiania legitymacji moralnej SLD, a skończyło na kwestionowaniu mandatu czyjegokolwiek – poza własną partią. I to właśnie zdrada centrum, ugięcie się tysięcy przyzwoitych ludzi przed demagogią, nadało prawo obywatelstwa postawom kontestującym demokrację, niszczącym polską tradycję, manipulującym pamięcią, depczącym ludzką godność... Dziś nawet profesorowie uniwersytetu twierdzą, że w katastrofie smoleńskiej „nie sposób wykluczyć sztucznej mgły".

Dla kłamstwa, które stało się znakiem rozpoznawczym polskiej prawicy, można mieć tylko pogardę. Ale ubolewam, że tak często krytykuję tu tych, którzy bronić się już nie mogą. Przypomnę jednak: te teksty są przedrukami. Powstawały w konkretnym czasie, reagowały na konkretne wydarzenia. Jak mógłbym dziś stosować w nich autocenzurę?

Szkoda przy tym, że nie starczyło czasu i sił, by osobne szkice poświęcić takim ludziom, jak Mieczysław Pszon, ksiądz Józef Tischner, ksiądz Andrzej Bardecki, Bronisław Mamoń... Lecz przecież nie o kompletność obrazu w tej książce chodzi. O ludziach dawnego „Tygodnika Powszechnego" – najwspanialszych postaciach Polski powojennej – warto będzie kiedyś jeszcze napisać. Bo Polska była dla nich ważniejsza niż antykomunizm.

czerwiec 2011

KRAKÓW, WILNO, ZNAK

BYŁEM CZŁOWIEKIEM JERZEGO TUROWICZA

Lipiec 1976 roku – pierwszy raz w życiu otwieram drzwi redakcji „Tygodnika Powszechnego". Wystraszona sekretarka macha rękami i woła: „Nikogo nie ma – jest tylko pan Pszon!" Zostawiam mój artykuł, a po trzech dniach przychodzę znowu. W pustej redakcji ponownie tylko ja i Mieczysław Pszon, a zza zamkniętych drzwi dochodzi stukot maszyny do pisania. Niebawem jednak, bezszelestnie, pojawia się przy nas ktoś trzeci: starszy, siwy pan, leciutko uśmiechnięty, w nieco wymiętym garniturze. Zerkam na niego ukradkiem, a na koniec, speszony, zwracam się w stronę wyjścia. Wtedy on wyciąga rękę i mówi: „Turowicz".

Nie znałem dotąd jego twarzy. Jerzy Turowicz był w PRL Wielkim Nieobecnym: nie ukazywał się w telewizji, nie mówił w radio, w obiegu publicznym daremnie było szukać jego fotografii. Nie mogłem nawet pamiętać jego charakterystyki, sporządzonej niegdyś przez Kisiela: „Długa, ascetyczna twarz Savonaroli z długim, rozdwojonym podbródkiem. [...] Głos cichy, mruczący, aksamitny baryton, bardzo miękki, rozsądnie perswadujący, uprzejmy, jak i cały w ogóle sposób bycia. Grzeczność trochę nieśmiała, trochę „lisia", postać nieco jezuicka, niezwykła, ale pociągająca. Jest stopem różnych osobliwych substancji duchowych, złożoną syntezą sprzeczności [...] Przy miękkości, poczuciu humoru i dużej tolerancyjności, charakter w istocie twardy i niełatwy".

I oto ściskam jego dłoń. Bąkam: „Och, bardzo mi przyjemnie". Wszak w mym pojmowaniu katolicyzmu nikomu nie zawdzięczam tyle, co jemu.

„Oddać Polskę Chrystusowi"

Jerzy Turowicz miał wtedy lat 64. Urodził się 10 grudnia 1912, w galicyjskim jeszcze Krakowie, w rodzinie mieszczańskiej – tradycyjnej i katolickiej (obaj jego starsi bracia wybiorą z czasem stan duchowny). Podczas nauki w sąsiadującym z domem rodzinnym III Gimnazjum im. Sobieskiego wstąpił do Sodalicji Mariańskiej i w wieku 15 lat zadebiutował w zakopiańskim pisemku „Pod Znakiem Maryi" (dokładna data tego debiutu nie jest dotąd ustalona). Potem przeniósł się do Lwowa i podjął tam studia na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki. Zafascynowany szybownictwem, został w lutym 1933 prezesem studenckiego Związku Awiatycznego; wszedł też do redakcji studenckiego miesięcznika „Życie Techniczne", w której objął „dział ogólny, awiatyczny i samochodowy".

Równocześnie jednak działał w organizacji lwowskiej Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie" i także został jej prezesem. W szeregach „Odrodzenia" zgłębiano społeczną naukę Kościoła, katolicką liturgię i filozofię tomistyczną, zarazem zaś przypominano, że chrześcijaństwo ma charakter powszechny i ponadnarodowy. Dlatego w codziennej praktyce dokonywano rozerwania utrwalonego związku Kościoła z polityczną prawicą, wchodzono w zwarcia ideowe z nacjonalizmem, zwalczano Młodzież Wszechpolską. Zmaganiom o autonomię i czystość wiary patronował model katolicyzmu rozwijany w ówczesnej Francji, zwłaszcza przez Jacques'a Maritaina, już wtedy uznanego przez Turowicza za mistrza. Ale on sam, dwudziestokilkuletni – czy mógł przypuszczać, że już niedługo stanie się filarem polskiego katolicyzmu?

Poglądy miał radykalne: panujący system gospodarczy uważał za niesprawiedliwy i pasjonował się ideą jego przebudowy. Zarazem zachowywał wierność katolicyzmowi: był katolikiem „z instynktu, z powołania, z przekonania". Corocznie we wrześniu wyjeżdżał na KUL i uczestniczył tam w „Tygodniach Społecznych". A kiedy już na stałe wrócił do Krakowa, by podjąć studia historyczne na UJ, zauważył, że istotą katolicyzmu jest „walka ze złem". Toteż jako „katolik społeczny" (tak sam siebie określał) walczył z kapitalizmem i nacjonalizmem, a w tych nadrzędnych sprawach nie wahał się stawać po stronie socjalistów (na wieczorze dyskusyjnym 1 grudnia 1935 jego sojusznikiem okazał się Józef Cyrankiewicz). W pojmowaniu katolicyzmu przez Turowicza dokonywał się bowiem systematyczny odwrót od społeczno-politycznej prawicy (uraz antyprawicowy, niezgodę na endecję i niechęć do chadecji zachowa do końca życia) oraz pogłębiała się sympatia dla egalitarystycznych ideałów lewicy (jeszcze po latach określi się jako „człowiek lewicy" i „chrześcijański socjaldemokrata"). Tyle tylko, że drogowskazem była mu wciąż społeczna nauka Kościoła i stara encyklika Leona XIII – *Rerum Novarum*.

„Dziś – pisał Turowicz w styczniu 1936 na łamach wileńskiego miesięcznika «Pax» – wyłącznym obrońcą prawdziwego człowieka i prawdziwej wolności jest Kościół katolicki". Nadzieja leży w „odrodzeniu katolicyzmu", który „przy pomocy środków duchowych, środków ubogich i czystych, stwarza elementy chrześcijańskiej kultury jutra" (*O chrześcijańską kulturę jutra*). Maritainowskie „środki ubogie", jako charakterystyczne dla autentycznej misji Kościoła, pojawiały się przez całe życie w publicystyce Turowicza. W lwowskim miesięczniku „Dyszel w Głowie", którego był przejściowo redaktorem naczelnym, precyzował, że środki te – to „ofiara, modlitwa, Krzyż, obecność, świadectwo prawdzie"; wszak w każdym złu chrześcijanin powinien szukać ziarna dobra, każdy błąd uznawać za zniekształconą prawdę (*Jeszcze o typie „odrodzeniowca"*, nr 25 z grudnia 1936). Dyrektywy „Dyszla w Głowie", brzmiącej „oddać Polskę Chrystusowi", nie traktowano tu jako przymusu,

odwrotnie: niekatolikom chciano dawać pociągający przykład, prowadzić z nimi dyskusję. W ten też sposób widział Turowicz rolę „odrodzeniowców" w polemicznym artykule *O „dwóch katolicyzmach"*, opublikowanym w lwowskiej „Gazecie Kościelnej" (1938, nr 14). Po latach zaś, charakteryzując ówczesny katolicyzm Maritainowski, napisze, że walczył on „o pogłębienie naszego typu religijności, wykształcenie pełnego światopoglądu i stworzenie w Polsce humanistycznej kultury katolickiej oraz o konsekwencje tego katolicyzmu w życiu indywidualnym i zbiorowym, z silnym naciskiem na konieczność daleko idącej przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego w duchu sprawiedliwości społecznej." (*Sprawa katolicyzmu*, „Tygodnik Powszechny" 1945, nr 11).

Na razie miał jednak lat 27 i wciąż nieukończone studia. Nie skończył ich zresztą nigdy, choć z czasem (według cytowanego wyżej świadectwa Kisiela) zaczęły go charakteryzować „niespodziewany zasób wiadomości z najróżnorodniejszych dziedzin" oraz „opanowanie paru języków". W roku 1939, w Krakowie, wszedł do redakcji chadeckiego dziennika „Głos Narodu", kierowanej przez wybitnego katolickiego publicystę, znawcę społecznej nauki Kościoła, ks. Jana Piwowarczyka. W lipcu 1939 objął już redakcję naczelną tego pisma. Kiedy jednak w czasie niemieckiej okupacji przystąpił do narodowo-chrześcijańskiej, konspiracyjnej Unii i podjął współpracę z jej organem „Kultura Jutra", rzec było można, że w kręgi chadeckie wnosił myślenie Maritainowskie. Owszem, wciąż jeszcze szukał właściwej formuły. Ale ten uformowany przez „Odrodzenie" katolicki radykał cały już czas pozostawał sobą.

„Warstwa najcieńsza"

Dnia 24 marca 1945, jeszcze w trakcie działań wojennych na Zachodzie, książę metropolita Adam Stefan Sapieha założył w Krakowie „Tygodnik Powszechny", a redagowanie go powierzył

ks. Piwowarczykowi. Nowe pismo – oświadczano – miało zmierzać „do utrwalania katolickiej Prawdy w szerokich kręgach naszego społeczeństwa i do wyrażania jej w sprawach społeczno-kulturalnych". Zarazem jednak miało być ono „apolityczne i bezpartyjne". „Z tego względu – informowano – wykluczamy z niego zagadnienia aktualno-polityczne oraz walkę stronnictw".

W składzie redakcji „Tygodnika" znajdował się Turowicz od początku – tyle że zrazu, podobnie jak w „Głosie Narodu", jako osoba „numer dwa" – po ks. Piwowarczyku. Jednak od 14 października 1945, choć funkcję szefa dzielił po części nadal z księdzem, podpisywał już „Tygodnik" sam. Odtąd też – niebawem zupełnie samodzielnie – redagował go aż do śmierci. Odejmując przerwy, spowodowane wydarzeniami politycznymi, miało to trwać ponad pół wieku.

Przez cały ten czas był również autorem tekstów programowych – takich jak wspomniana *Sprawa katolicyzmu*, opublikowana już w czerwcu 1945 roku. Ten manifest Turowicza przedstawiał pesymistyczny ogląd polskiego katolicyzmu, w którym ogromna większość wyznawców to „bierna masa katolików z imienia". Dopiero na niej sytuuje się, według autora, cienka warstwa katolików świadomych i aktywnych, ale i tu należy rozróżnić „dwa pokłady": „dolny, grubszy", czyli katolicyzm zewnętrzny, marzący „o ilościowym i politycznym triumfie Kościoła", oraz „górny, najcieńszy", nastawiony na pogłębianie religijności, budowę kultury i „osiągnięcia wewnętrzne, jakościowe". „Ta kilkuwarstwowość – dodawał Turowicz – będzie zapewne istniała zawsze", jednak należy dążyć do maksymalnego pogrubienia warstwy najcieńszej, będącej warunkiem niezbędnym do przetrwania katolicyzmu w nowych warunkach.

Warstwa najcieńsza – to właśnie był „Tygodnik". Radykalny katolicyzm Turowicza trudno już było uznać za „chadecki" – nawet w tym rozumieniu, jakie słowu temu nadawał tolerancyjny ks. Piwowarczyk. Był to – owszem – katolicyzm stale ten sam, lecz

zarazem jakże odmienny od tego, do którego przywykli wierni. Wywiedziony prosto z Ewangelii, stanowił opcję na rzecz „skrzywdzonych i poniżonych", opcję więc w jakimś sensie lewicową, choć podszytą krakowskim tradycjonalizmem. Po drugie, stanowił ów katolicyzm manifestację absolutnej dialogiczności i otwartości. Wspominając po latach jednego ze swych francuskich mistrzów, Emmanuela Mouniera, mówił Turowicz: „zafascynowała mnie ta idea uszanowania inności". Turowiczowy katolicyzm był przy tym zainteresowany dwiema zwłaszcza skrajnościami: osobą i ludzkością. W pierwszym przypadku przybierał charakter personalistyczny, w drugim – uniwersalistyczny, natomiast pomijał zbiorowość „pośrednią" – naród. Stroniąc od utożsamiania „katolickości" z „polskością", tym bardziej więc dystansował się od polityki.

Przyczółek

Arcybiskup Sapieha założył „Tygodnik" w porozumieniu z nowymi władzami (trudno było oczekiwać, by mogło być inaczej), a pomyślane w ten sposób pismo musiało – wbrew metropolicie i wbrew redakcji – przynosić komunistom zupełnie określone profity. Wszak w dialogu ze światem mogli oni dopatrywać się możliwości ewolucji na pozycje „jedynie słuszne", w antyintegryzmie – widzieć perspektywę dywersji w Kościele, w apolityczności – dostrzec opcję na rzecz wycofania religii ze sfery społecznej, zaś uniwersalizm interpretować jako abdykację z „rządu dusz" nad narodem. Nadzieję władz budziły też sympatie lewicowe, antyliberalne i antykapitalistyczne młodego redaktora, jeszcze po latach uważającego, że „w pełni liberalny kapitalizm [...] trudno jest pogodzić z chrześcijańskimi ideami społecznymi". Wspominał Stanisław Stomma, że „ukazanie się w Krakowie pisma oficjalnie firmowanego autorytetem powszechnie wielbionego arcybiskupa Sapiehy od razu stwarzało orientację. Polacy zrozumieli,

że nie należy stosować ślepego bojkotu, aby się nie «splamić», ale należy – jeśli tylko się da – wpływać na nową rzeczywistość." Jednak w sytuacji, gdy działało silne podziemie niepodległościowe – cóż było dla komunistów ważniejsze niż wciągnięcie Polaków do współpracy?

A przecież o współpracy nie było nawet mowy. Katolicyzm Turowicza od katolickiej grupy „Dziś i Jutro" (późniejszego PAX-u) Bolesława Piaseckiego różniło niemal wszystko. Korzeniom Maritainowskim i lewicowym odpowiadały tam przecież korzenie skrajnie prawicowe i nacjonalistyczne. Niezależność od władz kontrastowała z siecią niejawnych powiązań. Pełne zaufanie hierarchii kościelnej (arcybiskupa Sapiehy i prymasa Stefana Wyszyńskiego) pozostawało w niezgodzie z działalnością, którą biskupi uznawali za szkodnictwo. Turowicz był dla komunistów do przyjęcia, mógł być nawet uważany za pożytecznego, jednak ani przez moment nie był na ich usługach.

Co zaś najważniejsze: z całej powojennej palety ideowej „Tygodnik Powszechny" wykazał największą trwałość. Przez następne miesiące i lata upadały wszak kolejne koncepcje: nie tylko niepodległościowa, kontynuująca tradycje II Rzeczypospolitej, ale i pluralistyczna, ucieleśniana przez Mikołajczykowskie PSL, a wreszcie też chadecka, pozornie najbezpieczniejsza, wyrażana przez „Tygodnik Warszawski". Miał rację Stomma, przestrzegając już w roku 1946: „Nie wiemy, czy, kiedy i jak rozegra się w Polsce konflikt obozu katolickiego z obozem wojującego socjalizmu. Być może rezultatem konfliktu będzie dalsza utrata pozycji społecznych przez katolicyzm u nas posiadanych. [...] Sytuacja byłaby groźna, gdyby walka na liniach społecznych stanowiła całość ekspansji obozu katolickiego w Polsce" (*Maksymalne i minimalne tendencje społeczne katolików*, „Znak" 1946, nr 3). Gdy więc u schyłku roku 1948 Polska wkroczyła w stalinizm, z całego katolicyzmu niezależnego mogła pozostać ta tylko „warstwa najcieńsza": „Tygodnik Powszechny". Pismo „minimalistyczne", wycofane z polityki i życia

społecznego, ograniczone do obrony katolickiej tożsamości i kultury, było pierwszą, a zarazem ostatnią, oazą wolnej myśli.

Jeszcze bowiem u schyłku roku 1950 Turowiczowi i Stommie pozwalano opublikować takie słowa: „Katolicy mogą zrezygnować i w rzeczywistości polskiej rezygnują z walki o cele polityczne, o opanowanie władzy państwowej, jak też z dążenia do tworzenia własnego, po swojemu ujętego ustroju społecznego, godząc się na życie w ramach innego ustroju. Natomiast w żadnym wypadku i nigdy zrezygnować nie mogą z walki o kulturę chrześcijańską, czyli o chrześcijańską treść życia. Mówiąc obrazowo, mogą być oddane pozycje polityczno-ustrojowe, natomiast nie mogą być opuszczone pozycje walki o chrześcijańską kulturę jutra". Z jednej więc strony autorzy deklarowali: „Katolicy mają wolę być lojalnymi obywatelami państwa budującego socjalizm. Jesteśmy za umiarem, za odprężeniem, za łagodzeniem tarć wewnętrznych, jesteśmy za *treuga Dei*". Z drugiej strony pozbawiali władzę złudzeń: „Stawiamy sprawę prosto, bez niedomówień i z całą szczerością. Marksistami ani socjalistami nie jesteśmy. Widzimy w socjalizmie wiele stron dodatnich. Niemniej ideał socjalistyczny nie jest naszym ideałem" (*Katolicy w Polsce Ludowej*, 1950, nr 50). A kilkanaście miesięcy później, również spod pióra Turowicza i Stommy, wyszły i takie obrazoburcze sformułowania: „Mówi się o «chrzczeniu komunizmu», rozumiejąc przez to połączenie socjalistycznego programu społecznego z moralnością i metafizyką chrześcijańską. Koncepcję taką marksiści odrzucą z oburzeniem. My jej natomiast nie odrzucamy, ale nie możemy konstelacji takiej wyobrazić sobie inaczej, jak tylko jako produkt długoletniej ewolucji" (*Eksperyment polski*, 1952, nr 5). Poglądy takie wciąż jeszcze „puszczała" cenzura.

Ale, rzecz jasna, ten stan nie mógł trwać wiecznie. Odmowa zamieszczenia odredakcyjnego nekrologu Stalina oraz niezgoda zespołu na pozbycie się z jego grona Turowicza i Stommy przekonały władze w sposób ostateczny, że wobec „Tygodnika" nie da się

stosować „taktyki salami". Rzeczywiście, redakcja – mimo wszelkich wahań, prób i błędów – wyznaczyła sobie faktycznie linię, na której już nie drgnęła, nie przesunęła się z niej ani o milimetr. Żarty się więc skończyły: lokal przy ul. Wiślnej został 30 czerwca 1953 zamknięty i opieczętowany, a firmę oddano lojalnemu PAX-owi. Turowicz i Stomma nie mogli mieć pewności, że za swą postawę nie zapłacą ceny najwyższej.

A przecież „Tygodnikowy" eksperyment opóźnił wprowadzenie w Polsce totalitaryzmu o całe pięć lat. W dodatku, już wkrótce po zamknięciu pisma, pojawiły się pierwsze podmuchy „odwilży". Dlatego, gdy w trzy lata później nadszedł Polski Październik, restytucja „Tygodnika" stała się znów niezbędna – dla władzy, potrzebującej spokoju, oraz dla społeczeństwa, potrzebującego wolności. Pierwszy numer pod wznowioną redakcją Jerzego Turowicza ukazał się na Boże Narodzenie 1956 roku. I odtąd trwała ta redakcja następne ćwierć wieku – do kolejnego przełomu w grudniu 1981.

„Dialog z każdym"

Po roku 1956 mógł Turowicz w „Tygodniku" częściej niż dotąd przypominać prawdy wiary i tłumaczyć zasady chrześcijaństwa. Wchodził przy tym w polemiki z prasą reżimową – zawsze eleganckie, ale też zawsze zasadnicze, chwilami (gdyby dobrze się wczytać) – miażdżące. Kiedy zaś było to możliwe, formułował pretensje bezpośrednio pod adresem władz. „Bilans minionego ćwierćwiecza – pisał – w dziedzinie stosunków między Kościołem a państwem jest tak bolesny" (*Boskie i cesarskie*, 1971, nr 9).

Lecz mimo to, wierny dziedzictwu przedwojennego „Odrodzenia", poszukiwał „ziaren dobra" w najodleglejszych od chrześcijaństwa doktrynach, próbował definiować to, co łączy, usuwać na plan dalszy to, co dzieli. Postawa taka była zresztą także pochodną

jego ciekawości świata (w tym przede wszystkim – świata zachodniego) oraz szerokości zainteresowań: literaturą, sztuką, muzyką, teatrem... Ale była też próbą wywalczenia w państwie ateistycznym prawa obywatelstwa dla katolickiej większości. Pisał Turowicz: „Katolicyzm pozwala i domaga się, by nienawidzić zło, ale nie pozwala nienawidzić człowieka" (*Antysemityzm*, 1957, nr 11). „Nikt nie staje się automatycznie lepszy dzięki temu, że jest katolikiem [...] fakt posiadania prawdy nie daje żadnych uprawnień, natomiast nakłada obowiązki także w stosunku do tych, którzy tej prawdy nie posiadają" (*Katolicy, polityka i tolerancja*, 1959, nr 29). „Konserwatywna tradycja nieraz kwestionuje zgodność między ideami Rewolucji [Francuskiej] a ideami Europy. Otóż daleki będąc od gloryfikacji Wielkiej Rewolucji, sądzę, że główne idee rewolucji są istotnymi hasłami dzisiejszej cywilizacji" (*Święto nie tylko Francji*, 1957, nr 28).

Tak więc jeszcze za pontyfikatu Piusa XII próbował Turowicz głosić swe własne *aggiornamento.* Tym bardziej było oczywiste, że za Jana XXIII stanie się on gorącym entuzjastą kościelnej odnowy. Od roku 1962 był sprawozdawcą kolejnych sesji Soboru Watykańskiego II. Starając się zachować postawę centrysty między integryzmem a progresizmem, w rzeczywistości opowiadał się raczej za tym drugim, choć rad był go oczyszczać z radykalizmu i skrajności. Sam bowiem był – jak zawsze podkreślał – za „postawą otwartą", „wyrastającą z najgłębszych tradycji Kościoła". Był też za ekumenizmem. „Kościół – pisał – wobec tego świata, takiego, jakim on dziś jest, ma misję [...] jest za ten świat odpowiedzialny. I dlatego konieczny jest ten wysiłek adaptacji, reformy, by łatwiej i skuteczniej z tym światem nawiązać dialog, by mówić do niego jego językiem, by odpowiadać na jego potrzeby i jego pytania" (*Stany Generalne Kościoła otwarte*, 1962, nr 44). I dodawał: „Duchowa odnowa Kościoła musi oznaczać [...] koniec tzw. ery konstantyńskiej, odrzucenie pokusy panowania nad światem, odrzucenie «triumfalizmu», to jest identyfikowania Kościoła w jego

pielgrzymującym kształcie z Królestwem Bożym. Musi to oznaczać podkreślenie i odnowienie idei służby pełnionej przez Kościół wobec świata" (*Trzecia sesja*, 1964, nr 38).

Dzieło Soboru w zasadniczy sposób wzmocniło model katolicyzmu propagowany przez Turowicza. Jeszcze szereg lat później podkreślał on, że „Kościół gotów jest prowadzić dialog z każdym. [...] Dialog musi charakteryzować absolutna bezinteresowność, rezygnacja z prozelityzmu i wszelkich bezpośrednich korzyści apostolskich, całkowite respektowanie wolności religijnej, wolności przekonań partnera" (*Dialog z niewierzącymi*, 1968, nr 47). Uznawał przy tym, że „Idąca przez Kościół fala odnowy, prowadząca nieraz do sprzeciwu, nawet jeśli nie zawsze czysta, jest zbyt potężna, by można ją było [...] powstrzymać. [...] Przezwyciężyć kryzys, przekształcić go w kryzys wzrostu można tylko przyspieszając i pogłębiając proces odnowy w Kościele. Istnieje bowiem – trzeba tu powiedzieć – niebezpieczeństwo zahamowania procesu odnowy, próby włączenia wstecznego biegu. Byłoby to straszliwą pomyłką" (*Kryzys w Kościele*, 1969, nr 1). Ten słynny niegdyś artykuł dopiero dziś brzmi proroczo.

Entuzjazm Turowicza dla soborowej odnowy nieraz narażał go na krytykę ze strony prymasa Wyszyńskiego – skądinąd serdecznie od lat z nim zaprzyjaźnionego, lecz będącego orędownikiem religijności tradycyjnej, ludowej, obrzędowej i Maryjnej. Większe już zrozumienie budziła publicystyka redaktora w młodym i „nowoczesnym" (jak się wtedy mówiło) arcybiskupie krakowskim, Karolu Wojtyle – wieloletnim współpracowniku i przyjacielu „Tygodnika", autorze przedmowy do wyboru artykułów Turowicza *Chrześcijanin w dzisiejszym świecie* (1963). Ale najistotniejsze było to, że naczelny „Tygodnika" włączał polski katolicyzm w ekumeniczny nurt odnowy, szeroko płynący wówczas przez Europę i świat. Wszak w pojałtańskiej rzeczywistości raz za razem, fizycznie i duchowo, przekraczał on „żelazną kurtynę" i nie pozwalał, by Polska ugrzęzła w komunistyczno-katolickim bajorku.

„Ciało obce"

Tym samym jednak – zarówno w Polsce Bolesława Bieruta, jak i w Polsce Władysława Gomułki – było Turowiczowe środowisko „ciałem obcym". Owszem, emanacja środowiska istniała nawet – jako Koło Poselskie ZNAK – w Sejmie PRL, ale z punktu widzenia partyjnej ortodoksji było to tym gorzej. Co z tego bowiem, że niechęć do budowania partii chrześcijańskiej okazała się wśród ZNAK-owców trwała, skoro pozostawała chęć cywilizowania przez nich „socjalizmu"? Co z tego, że nie kwestionowali oni zasad ustrojowych i podległości wobec ZSRR, skoro tłumaczyli to tak bardzo po swojemu: racjami geopolitycznymi, których zmienić było nie sposób? Ludzie ci reprezentowali z gruntu odmienny – i na kolejnych etapach „budowy socjalizmu" nienaruszony – system wartości. Czuli się Europejczykami – więc działali na rzecz duchowego przynajmniej, jeżeli nie od razu politycznego, zjednoczenia kontynentu. Dlatego – obok kontaktów Turowicza z katolikami całego świata – utrzymywali od roku 1957 szczególnie silne związki z katolikami zachodnioniemieckimi. Byli chrześcijanami – więc pracowali na rzecz dialogu ze środowiskami żydowskimi. Stąd wielokrotnie przez Turowicza wyrażane – a bynajmniej wtedy nieoczywiste – przekonanie: „Antysemityzmu z katolicyzmem pogodzić się nie da, antysemityzm w swojej istocie jest całkowicie pogański". ZNAK-owcy byli więc inni, toteż sama logika systemu broniła się przed ich obecnością, groźną dlatego tylko, że w ogóle miała miejsce. Tolerowanie odmieńców nakazywał wyłącznie pragmatyzm – w końcu bywali też pożyteczni.

Bowiem pragmatyzm towarzyszył równocześnie drugiej stronie. Dla ZNAK-u komuniści byli tyleż przeciwnikami, co partnerami – ludźmi, których należało skłaniać do stałego zdawania egzaminu z patriotyzmu, do kierowania się racją stanu, a nie interesem obcego mocarstwa. Opozycyjność ZNAK-u, polegająca

przede wszystkim na chronieniu katolickiej tożsamości oraz na zasadach – jak mówił Władysław Bartoszewski – „realizmu w warunkach socjalizmu", była więc względna i ograniczona do sytuacji krańcowych. Rzecz w tym jednak, że w podobnych sytuacjach środowisko ZNAK-u i „Tygodnika" nie wahało się wystąpić przeciw władzom. A „w warunkach socjalizmu" był to za każdym razem „wystrzał z rewolweru".

Kiedy więc w marcu 1964 pojawiła się inicjatywa tzw. Listu 34, protestującego przeciw zaostrzającej się cenzurze, Turowicz zdecydował się go podpisać (razem z Marią Dąbrowską, Zofią Kossak, Melchiorem Wańkowiczem, Pawłem Hertzem...). Kiedy w półtora roku później Episkopat Polski skierował list do biskupów niemieckich, Turowicz – próbując łagodzić jego wymowę – bronił go przed władzami w sposób zupełnie jednoznaczny. Kiedy zaś w marcu 1968 na ulice miast wyszli protestujący przeciw przykręcaniu śruby studenci, Koło Poselskie ZNAK skierowało interpelację, która w opinii władz postawiła je „w jednym szeregu z organizatorami zajść".

Jednak za każde takie wystąpienie środowisko płaciło kolejnymi ograniczeniami, zwłaszcza obcinaniem nakładu „Tygodnika". Ale tacy to byli ludzie: „europejscy" i zarazem bardzo „polscy"; chrześcijańscy i zarazem bardzo dialogiczni; koncyliacyjni i ugodowi, ale w chwilach próby bezbłędnie dający świadectwo. „Twardzi i niełatwi" – czasy stalinowskie udowodniły, że nieobcy był im etos bohaterstwa.

Dlatego też, tak jak w czasach Bieruta system wypluł ze zdrowej tkanki obce ciało, tak teraz, w czasach Edwarda Gierka, wypluł z Sejmu ostatniego posła, który imponderabilia przedłożył nad doraźną taktykę: Stanisława Stommę. Ale do stalinizmu nie dało się już wrócić i „Tygodnik Powszechny" trwał. Bo choć w pokojach na Wiślnej panowała cisza i pustka lipcowego południa, wciąż rezydował tam starszy, siwy pan, który właśnie wyciągnął do mnie rękę i wymówił słowo: TUROWICZ.

Papieski i solidarnościowy

Pojawiłem się więc w „Tygodniku" w momencie przełomowym: kresu prawie 20-letniej ZNAK-owej opozycji parlamentarnej oraz początku zorganizowanej opozycji pozasystemowej, którą ludzie ZNAK-u zaczną niebawem wspierać. Otwartość Turowicza przejawiała się już wtedy nie tylko – i nawet nie tyle – w dialogu z władzami, lecz przede wszystkim, szlakiem „Listu 34", w kontakcie z tą właśnie tworzącą się opozycją. I nic tu nie miało do rzeczy, że były to często środowiska od katolicyzmu odległe: laickie, agnostyczne, ateistyczne... Turowicz szedł ręka w rękę z innym ZNAK-owcem, Tadeuszem Mazowieckim, który już wcześniej przekraczał w swej „Więzi" „kredowe koła" starych podziałów.

Jednak prawdziwy przełom w publicystyce Turowicza nastąpił dwa lata później. Po wyborze Karola Wojtyły na papieża pismo stało się – jak żartowano – „Tygodnikiem Papieskim". Oczywiście, trudno w tym było doszukiwać się jakiejś zmiany zasadniczej: Turowicz był przecież katolikiem i wystarczyło przeczytać, co przedtem miał do powiedzenia o Janie XXIII, czy Pawle VI (choć już nie o Piusie XII). A jednak spędzony w Rzymie dzień 16 października 1978 stworzył nową jakość: odtąd w kulcie Turowicza dla papieża – Polaka i krakowianina – widać było również aprobatę dla krzepnięcia Kościoła w rzeczywistości nowej, wymagającej jedności i dyscypliny, oraz uznanie dla wciąż tego samego centryzmu, wyznawanego w najgorętsze dni soborowe.

Ceną stało się jednak stopniowe odchodzenie od zachodnich nowinek religijnych. Najpierw w artykule *Magisterium i teologowie* (1980, nr 6) wyraził Turowicz zdecydowaną aprobatę dla papieskiej decyzji cofnięcia misji kanonicznej ks. Hansowi Küngowi, potem kilkakrotnie przedstawił – nigdy dotąd nieformułowany tak ostro – sprzeciw wobec teologii wyzwolenia. Oddalanie się od Soboru przyjmował w duchu prawowiernego katolika: jako konieczność. Zarazem, gdzie mógł, tam apelował, by ożywczego

prądu nie porzucać: akcentował wszystko, co w nauczaniu Jana Pawła II płynęło z *aggiornamento*, i zawsze znajdował czas, by w „Tygodniku" omawiać sylwetki prekursorów Soboru: Chenu, Lubaca, Congara... I tylko dla płynącej z Zachodu krytyki Jana Pawła rzeczywiście „nie miał ucha": był na to zanadto papieski, czy raczej zanadto polski?

Tymczasem wkrótce po zaangażowaniu „papieskim" pojawiło się w „Tygodniku" zaangażowanie następne: „solidarnościowe". Nie było ono bezwarunkowe: środowisko wnosiło w „Solidarność" cechy, które Turowicz streszczał słowami „realizm, umiar, rozwaga i odpowiedzialność". A jednak w latach 1980-1981 dominowała na łamach „Tygodnika" bezwzględna aprobata dla ruchu, budzącego tak olbrzymie nadzieje: nie naruszyło jej nawet *Posłanie do narodów Europy Wschodniej*, skądinąd dla Turowicza – z powodu swego politycznego radykalizmu – „przerażające". O ile więc kult papieża Wojtyły zaowocował (co najmniej) większym zrozumieniem dla kościelnego tradycjonalizmu, to kult „Solidarności" przyniósł (hipotetyczne na razie) niebezpieczeństwo rozpłynięcia tożsamości ZNAK-u w strukturze szerszej – odległej, radykalniejszej, a bywało, że i wrogiej.

Na razie, po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981, „Tygodnik Powszechny" został, jak już wspomniałem, zawieszony. Pismo wróciło jednak triumfalnie (bo bez żadnych warunków wstępnych) już po pięciu miesiącach, w maju 1982, w dodatku z żałobną winietą, utrzymaną przez następnych siedem lat. Odtąd Turowicz redagował „Tygodnik" bez najmniejszej już przerwy – do śmierci. A zaraz po zniesieniu stanu wojennego pisał: „Ogromna większość tego społeczeństwa uznaje zasady Konstytucji PRL, łącznie z przewodnią rolą PZPR, nie kwestionuje naszych międzynarodowych sojuszy, nie dąży do obalenia ustroju socjalistycznego. Pytanie brzmi nie: czy socjalizm, ale: jaki socjalizm" (*Jaki będzie ten kraj?*, 1983, nr 31). W akceptacji podstawowych pojęć PRL posunął się więc tak daleko, jak bodaj nigdy – i często mu to

potem wypominano. Rzadziej jednak zwracano uwagę, że, opowiadając się za demokratyzacją socjalizmu, stawiał władzy warunki bardziej niż kiedykolwiek wygórowane.

Tak czy inaczej, stał się wtedy „Tygodnik Powszechny" legalną trybuną zdelegalizowanej opozycji – nieformalnym organem Solidarności. Bilans obchodzonego w roku 1985 jego czterdziestolecia w tej sytuacji musiał przedstawiać się imponująco. Polska – kraj katolicki – w całych swych dziejach nie zafundowała sobie takiego katolickiego czasopisma. „Tygodnik" łączył wszak ortodoksyjną doktrynalność, a także głęboką wiedzę o prawdach wiary oraz dziejach i istocie Kościoła, z otwartością na drugiego, z dialogicznością, z próbami budowania sojuszu ludzi dobrej woli, w tym – porozumienia chrześcijańsko-żydowskiego. To dzieło ewangelizacji było zaiste imponujące. Ale też właśnie dzięki niemu mógł tworzyć „Tygodnik" płaszczyznę narodowego współdziałania, otwarcie już przeciwstawiającego się władzy, a dokonywanego w imię zasadniczej reformy ustroju. Pismo przyciągało współpracowników z tak różnych stron, że chwilami zdawało się wręcz krajowym monopolistą. Tyle że monopol ów dokonywał się pod dwoma hasłami: uczciwość i przyzwoitość. To zawsze był znak firmowy Jerzego Turowicza.

Oblicze Janusa

Kiedy po roku 1988 Turowicz – członek Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie – zaczął w większym niż kiedykolwiek stopniu uprawiać publicystykę polityczną, czytałem jego teksty z jeszcze znaczniejszym zachwytem. Zdawało się, że cała mądrość chrześcijanina, widoczna przez dziesiątki lat w jego refleksji na temat Kościoła, skumulowała się w artykułach, wzywających do utrzymania solidarnościowej jedności, do ostrożności i umiaru, do poparcia pierwszego niekomunistycznego rządu „chrześcijanina